

JOANNA LECHA
Sztuka



Zupełnie na marginesie książki Joanny Lech

Wielu z nas doskwiera monotonia życia – nawet bohaterskim dzieciakom z tej opowieści, choć robią wszystko, by ją rozproszyć. Rozpraszenie nudy jako życiowy cel. Bo życie na początku przez te straceńcze zabiegi wydaje się dość barwne, a nawet intensywne. Im więcej śmierci dużych i małych, spektakularnych bądź cichych pogrzebów, tym intensywniejsze. Ta proza wydaje mi się właśnie taka: intensywna, zachłanna na wszystkie wspomnienia, doznania. Na to, co było dawniej, naprawdę i mocno było. A teraz jakoś nie chce.

Karol Maliszewski

S a t u / r a k i

S a t u

JOANNA LECH

czki

Warszawa 2016

n i s z a



Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do wydania tej książki,
uczestnicząc w zbiórce na pomagam.pl.

Specjalne podziękowania dla Liliany Hermetz i Bartłomieja Dubasa.

Spis treści

Część I Niebo	6
Za rzekę	9
Dzieci i ryby	17
Twój dom nie ma drzwi ani okien	25
Kot, który nie chciał zostać Szarikiem	31
Dziadek Hitler i Słowik	37
Bóg rzeki, jeziora i wszystkich jego doptywów	45
Czarna skrzynka	53
Wszystkie małe wojny	61
Nie przegap swojej bajki	71
Kto ugryzł księżyc i dlaczego zniknął	83
To, co zostaje z marzeń żołnierzy	15
Chłopiec w czerwonej pelerynie	95
Część II Wiry i zachody	102
Świnka Marysia zjada tęczę	105
Ulka znaczy wstyd	115
Karmienie grobów	127
Po co Dziadkowi buty, skoro Dziadek nie ma stóp?	137
Epilog	152
Koniec świata w niebie	155

JOANNA LECH SZTWEZKI



Część I

Niebo

*Wszystko, co było dawniej,
wydaje się dziwne. [...]
Czasem wydaje się, że tego
w ogóle nie było. Czasem
wydaje się to wszystko straszne,
czasem śmieszne, czasem głupie.
Ale nie takie, jakie było
naprawdę.*

*Marek Hłasko, Pierwszy krok
w chmurach*

JOANNA LECH **Sztuczki**



Za rzekę

Po co są dni?

To w dniach mieści się nasze życie.

Jeden po drugim nastają

I budzą nas ze snu.

Philip Larkin, *Dni*

1.

Więc w pewnym momencie chcieliśmy pojechać dalej. Do trzec na sam koniec świata, za ostatni zakręt. Za rzekę, do samego jej źródła. Chcieliśmy sprawdzić, skąd biegnie. Nasza wioska stała u podnóża Bieszczad, chcieliśmy je przejechać. Najbardziej chcieliśmy wejść na wysoką górę, której szczyt majaczył w oddali, kiedy nie było mgły. Była jedną z granic. Nie wiedzieliśmy czego, ale chcieliśmy ją przekroczyć. W Niebie naprawdę niczego więcej nie było. Wszystko już odkryliśmy, każdą ścieżkę i każdy zagajnik. Każdego dnia wskakiwaliśmy na rowery i pędziliśmy na łąki. Od mostu do Bazy, z Bazy do mostu. Tam i z powrotem, bez końca, od lasu do domu. I od kościoła do lasu. Tak całe lato. Całe wakacje. W Niebie nie było innej rozrywki. Jeszcze tylko pokopać piłkę do dwóch chwiejących się bramek. Strzelać z procy cukierkami do ludzi na przystanku. Bić się na kije między ludźmi na dworcu. Zbierać pety z chodnika. Pokuścać się na linie zawieszonych na niskich gałęziach. Albo pod tartak i położyć się na nagranych kłodach, jeszcze mokrych, pachnących żywicą. I już z powrotem, w chłodny cień wierzb, powrzucać kamienie do jeziora i puścić pod mostem łódki z patyków. Zawsze graliśmy tak samo, na kapsle i kamienie, w wojnę albo w kości, jeśli ktoś akurat miał i przyniósł. Czasem tasowałeś karty i pokazywałeś nam sztuczki.

Czasem starsi przystawali w drodze na tańce i czasem pozwalali przejechać się na swoich motorach. To była największa nagroda. Bo gry w końcu zrobiły się nudne. Bo z każdym dniem robiło się zimniej. Bo chyba po prostu wyrastaliśmy już trochę z tych zabaw, a nie mieliśmy pomysłu na inne. Zbieraliśmy się po prostu noc w noc, rozkładaliśmy gry i czekaliśmy, co będzie. Że może ktoś przyjdzie, coś się wydarzy. Albo i nie, albo po prostu siedzieliśmy. Gadaliśmy. Paliliśmy, piliśmy, jeśli ktoś akurat miał coś i przyniósł. We wsi naprawdę nie było innej rozrywki.

A potem ławki pod sklepem i starzy, zmęczeni mężczyźni. Wchodziliśmy między nich jak w zboże, zbieraliśmy puste butelki i żaden nigdy nie zwrócił na nas uwagi, falowali w jakimś tajemnym rytmie, jak kłosa na wietrze falowały ich ciężkie głowy, przysypiali, wygrzewając się w słońcu. Wchodziliśmy i wychodziliśmy bez słowa, a kasjerka od razu przeliczała kaucje na dropy. Jedliśmy je, chodząc po szynach. Przeszliśmy tak całe kilometry torów. Szliśmy daleko, za ostatnie domy, za ostatni zakręt. Dalej była już tylko ciemna zieleń drzew, droga wijąca się serpentynami i bura miedza. I te rozpląszczone truchła żab – jak brzydkie tajemnice znane tylko dorosłym. Trącaliśmy je kijami, patrząc na wypływające z nich soki jak z przejrzałego owocu. Ile kijanek zdechło na tym pomoście, tysiące. Tysiące małych żabek podobnych do kropel krwi. Dobrze je znaliśmy. Wiedzieliśmy, gdzie naciskać. W końcu nie znaleźmy lepszej rozrywki.

Dawniej mieliśmy zakole, wąski strumień rzeki, przez który przejeżdżaliśmy z rozpędu, rozpryskując oponami wodę we wszystkie strony. Płycizna była przejrzysta, sięgała powyżej do kostek, można było się położyć, rozłożyć ręce i robić orły bez śniegu, zagarniając pod siebie kamyki i brudny,

kłujący piasek. Dawniej siedzieliśmy tam non stop. Kąпалиśmy się, budowaliśmy tamy z gałęzi i błota, a w powstałym zalewie próbowaliśmy łowić małe szare płotki na wędkę z patyka, choć nigdy się nie udawało. Tylko raz zobaczyliśmy prawdziwą rybę; pamiętam, rzuciliśmy się do wody, ale ryba dotknęła Twojej nogi, wyslizgnęła się z palców i znikła. Potem coś błysnęło w słońcu i przysięgałeś, że mrugnęła do Ciebie jednym bladym okiem. Przeskoczyła przez zapórę, jakby z nas drwiąc. Ale to nic. I tak następnego dnia tama została przerwana, a reszta, której nie zmyło, zapadła się do środka. W błocie zostały ślady kół. Ale to nic. Bo i tak nam się znudziło. Bo i tak piasek był brudny. Bo łąka zasłana była krowimi plackami i zawsze ktoś w nie wchodził i ryczał.

2.

Najlepiej było, gdy ktoś umierał. Rzucaliśmy się wtedy na jego stygnące bezwładne ciało i obrysowywaliśmy je kredą. Dokładnie, cały kontur. Tak jak w filmach. Rysowaliśmy na czworakach, jedni zaczynali od stóp i łydek, reszta od głowy. Najlepiej do tego nadawała się ta biała kreda do pisania na szkolnych tablicach. Była twarda i dawała wyraźną, grubą linię, zupełnie jak w filmach. No i nie łamała się tak szybko jak te barwione, cienkie, ze sklepu. Ale tamtej zawsze brakowało, więc najczęściej trup wyglądał, jakby upadł na tęczę, tak się mieniła linia, bo przecież każdy miał inny kolor. Już ten trup wcale nie wyglądał jak trup. I nikt się go nie bał. Szturchało się go tylko co chwila, żeby już się nie ruszał. Bo kto widział falujące linie wokół nieboszczyka, nie może być. Potem takich obrysów w kształcie małych chłopców było pełno na każdym chodniku, dopiero deszcz je zmywał. A dorośli chodzili i pukali się w czoło. W klasy by pograli. A porysowaliby coś, narzekał Dziadek, ścierając

kontur butem. Ale nie chcieliśmy. Woleliśmy umierać. Umieraliśmy namiętnie, ile nas było. Jedni po spadnięciu z niskiej gałęzi. Inni, gdy grali w nogę. To najczęściej. Albo w gumę. Wystarczył jeden nieostrożny ruch i już się wywalało na rowerze. Wystarczyło, że ktoś się przewrócił, a już dobiegaliśmy do niego z tą kredą – jak stado sępów. No, zupełnie jak w filmach.

A potem, gdy już wszyscy skończyli i linia była zamknięta, trzeba było jeszcze zabezpieczyć miejsce zbrodni. Dlatego stawialiśmy patyki obwiązane sznurkiem, który był żółtą policyjną taśmą, dokładnie taką jak w filmach. Następnie przyjeżdżał Detektyw. Detektywem zawsze byłeś Ty, Andy, bo byłeś najsilniejszy i potrafiłeś czarować. Wkładałeś pelerynę z czerwonej kapy i Dziadkowy kapelusz i pochylałeś się nad nieboszczykiem, dokładnie studiując pod lupą każdy centymetr jego twarzy. Sypałeś piaskiem na głowę, drobnymi listkami wypychałeś mu usta, szeptałeś zaklęcia. Miałeś różdżkę z patyka i procę, byłeś generałem i magikiem. Staliśmy wokół Ciebie kręgiem i waliliśmy w puszki, pokrywki, kosze, co było pod ręką. Waliliśmy w nie kijami, hałas był piekielny. Waliliśmy, dopóki nie zakryłeś zwłok peleryną, nie wypowiedziałeś magicznego: Wstawaj, chuju! Abrakadabra! I na to zaklęcie trup zrywał się z ziemi cały i zdrowy. Ale czasem jeszcze stwierdzałeś, że to specjalnie, morderstwo, i że trzeba to zbadać. Wtedy rzucaliśmy się szukać poszlak. Śladów ukrytych w zdeptanych liściach, w odciskach butów i startych liniach boiska. Zazwyczaj szybko znajdowało się narzędzie zbrodni – piłka kopnięta za siatkę albo przecięta opona w rowerze. Więc łapano podejrzanych i ustawiałeś ich pod ścianą, przepytywałeś, a potem kolejno wykrzykiwałeś: Winny! Głośno i twardo jak rozkaz, uderzając przy tym łopatką o durszlak. Pluton egzekucyjny już cze-

kał. Dawaleś znak, żołnierze wyciągali pistolety na wodę i strzelali im po kolei w czoło. Syk, pstryk i po wszystkim. Winni padali jak muchy, z wywalonymi językami leżeli sztywni, bezsprzecznie martwi. Szturchaliśmy ich jeszcze raz, czubkiem buta, tak na wszelki wypadek. Bo gdyby któryś jęknął, jeszcze trzeba by było go dobić. A potem kopaliśmy im grób.

3.

Albo takie stonki. Zbieraliśmy to cholerstwo ze ścian szkoły i ściskaliśmy w palcach, żeby pękały jak dojrzałe wiśnie. Te w domu, na chodniku deptaliśmy podeszwami trampek i Babcia chodziła zła o te plamy. Ale nic nie mogła powiedzieć, bo plaga była każdego lata. Przychodziły z pól. Bo to cwane są jebańce, po prostu, mówił Marcin. Zzerały wszystko na działce i wkrótce Dziadek zaczął nam płacić za ich zbieranie. Odrywaliśmy tłuste robaki jak porzeczeki z łodyg ziemniaków razem z grudami ziemi i liśćmi, a jak już było pełno pod zakrętkę, biegliśmy z powrotem. Dziadek uroczyście podnosił każdy słoik, potrząsał nim i oglądał pod światło. Płacił batonami o smaku adwokata. I gdy potem leżeliśmy pod czereśnią, chłopcy zlizywali stopioną czekoladę z palców. Ale ja nie, bo żółte nadzienie zawsze kojarzyło mi się ze stonkowym mięszem. Zresztą nikt nie miał czasu wymyć rąk i trochę się brzydziłam, ale przecież nie mogłam dać tego po sobie poznać. Więc tylko co jakiś czas potrząsałam słoikiem. Kiedyś wlałam do niego wody, żeby zobaczyć, jak długo będą się topić. Okazało się, że długo. Bo włożyły na siebie. I przebierały odnóżami. Marcin mówił, że i tak się w końcu poduszają, więc czekaliśmy. Dziadek często powtarzał, że to Amerykańcy zrzucają je z samolotów, żeby nas wszystkich wybić. Wszystkich nas

wybijają, tak mówił. I wyobrażałam sobie, jak je zrzucają. Te stonki. Za skrzydełka. I przez okno. E tam, powiedział Marcin, gdy mu to pokazałam. Nie chciałoby mu się. On pewnie strzela. No pilot, z karabinu. Takiego na działku, maszynowego, potwierdził Adaś. I przez chwilę wyobrażałam sobie Adasia, jak wystrzeliwuje armię takich stonk w stronę bezbronnego pola ziemniaków. No wiadomo, powiedziałam. Ale myślałam o eskadrze szybowców, o tysiącach małych papierowych samolotów zrzucających tysiące pękających słoików: stonkowych bomb.

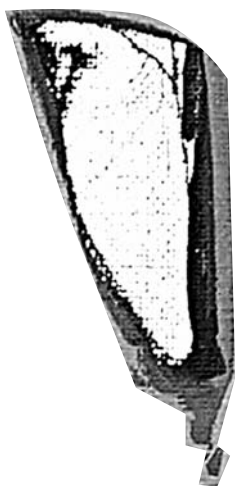
4.

No i pewnego dnia w końcu wskoczyliśmy na rowery i pojechaliśmy ile sił w nogach. Jechaliśmy tak bez końca, pod światło, aż mięśnie piekły i piszczało w uszach. W lesie powietrze się zmieniało, powstawały ciepłe i zimniejsze fale, rześkie prądy. Pędziliśmy przez to, naciskając do oporu pedały, do ostatniego tchu. Na pogiętych składakach i z łukami przywiązanymi do pleców czuliśmy się jak poszukiwani żywi lub martwi, zgraja robin hoodów szwendających się po bezdrożach i ścieżkach Nieba. Jeszcze nie chcieliśmy umierać. Pędziliśmy wzdłuż linii lasu. Szukaliśmy kłopotów. Prosiłiśmy się o nie. Byliśmy gotowi. Jakbyśmy wylądowali w jakimś filmie, w środku przygody. Tego chcieliśmy. Jechaliśmy i tak bardzo, tak strasznie jeszcze nie chcieliśmy dostać, nie chcieliśmy umierać. Wieża kościoła już dawno zniknęła w kłębach pyłu i istniało tylko to, co przed nami. Droga. Słońce topiło asfalt. Jechaliśmy. Pola o barwie ołowiu sięgały aż po horyzont. Zielone bagna pełne kaczeńców i wystających korzeni. Łąki białe od puchu dmuchawców. Szum wiatru i smugi ciepła na twarzy. Upał i kurz. Kolejny las. Potem kilka drewnianych domów. Kury wchodziły pod koła,

psy goniły nas po wybojach. Za tą wioską była kolejna wioska, taka sama. Za nią już tylko drzewa, ściana młodników, kilkanaście kilometrów zieleni z prześwitami słońca. A potem nagle pod górkę. Jechaliśmy tak niecałą godzinę i już nie dawaliśmy rady. A góra jakoś wcale się nie przybliżała. Może oddalała już raczej. Właściwie wjechaliśmy tylko głębiej w las. Robiliśmy coraz dłuższe, coraz częstsze przerwy. Po prostu już nam się nie chciało.

W którymś przydrożnym sklepie udało się kupić kilka puszek i tak siedzieliśmy przy rowie, w palącym słońcu, popijając po kilka łyków ciepłego, zwietrzałego już piwa. To wtedy, na takim postoju wyciągnąłeś plastikową torebkę szczelnie wypełnioną suszem. Uśmiechałeś się tajemniczo, klepiąc po kieszeniach. A my otoczyliśmy Cię kręgiem pełnym radosnej nadziei. Ta chwila była jak marzenie, wszyscy o tym słyszeliśmy, ale nikt jeszcze nie widział. I gdy napychałeś lufkę, każdy brał ją między palce i oglądał. I wahał. W końcu zapaliliśmy z namaszczeniem, jakbyśmy przyjmowali jakiś sakrament. Czekaliśmy. Kiedy zaczniesz działać? Nikt nie wiedział. Więc odtąd co kilka zakrętów zatrzymywaliśmy się w zaroślach, żeby zapalić. Po jednym dymku. Nie za dużo na raz. Nie wszystko. I tak nikt nie mógł więcej, od razu kręciło się w głowie. Śmialiśmy się potem jak gówniarze i zataczaliśmy po drodze. W końcu rzuciliśmy rowery na jakąś łąkę i leżeliśmy tam długo, bez tchu, zmęczeni i mokrzy od potu. Zapach siana mieszał się z tytoniem i kręcił w nosie, ostatnie smugi światła przebijały suche łądygi i nikły w głębi lasu. Umieraliśmy. Ze zmęczenia, głodu i mdłości. Kaszleliśmy. Nic nie mówiliśmy, bo nie było nic do dodania. Każdy miał tak samo. Leżeliśmy, patrzyliśmy w niebo. Liczyliśmy chmury. Czekaliśmy. A potem ktoś wypatrzył ambonę leśniczych i wdrapaliśmy się po chwiejnej

drabinie. Staliśmy na górze, przypominając sobie, że mieliśmy wrócić. Głowy mieliśmy powyżej mgły zalegającej równinę, spowijającej ją jak trupi oddech. Zmrok ogarniał łąkę i drzewa powoli zapadały w sen. Za nimi nie było już nic. Tylko jeszcze więcej lasu, jeszcze wyższych drzew i jeszcze ciemniejszych. A tak naprawdę wcale daleko nie zajechaliśmy. Tak naprawdę nie udało nam się uciec. Och, ale jak dobrze stamtąd strzelało się do ptaków i nasze wrzaski niosły się echem po całej okolicy.



JOANNA LECH **Sztuczki**

© Joanna Lech and Wydawnictwo Nisza

ISBN 978-83-62795-44-4

Wydanie I

Warszawa 2016

Redakcja: Krystyna Bratkowska

Korekta: Dorota Dul

Projekt graficzny z wykorzystaniem

obrazu Katarzyny Gintowt: Ryszard Kajzer

Krój pisma **Merlo grotesque**: Błażej Ostoja Lniski

Krój pisma Nowy Toruń: Franciszek Otto

Skład i łamanie: Zerkaj Studio

Druk i oprawa: Mazowieckie Centrum Poligrafii

Wydawnictwo Nisza

tel. 48 607 622 655

nisza@intertop.pl

www.nisza-wydawnictwo.pl

www.facebook.com/Nisza.Wydawnictwo



Nisza należy do ZMOWY



Joanna Lech

ur. 1984. Autorka trzech tomów wierszy: *Zapaść*, *Nawroty* i *Trans*, laureatka wielu konkursów literackich (m.in. PTWK, im. R.M. Rilkego, im. J. Bierezina) nominowana do Nike i Silesiusa, felietonistka m.in. Korporacji Ha!art. Mieszka w Krakowie, kompulsywnie podróżuje, fotografuje i czyta. joannalech.pl

I o magii. O chłopcu w czerwonej
który miał na imię Nic i był czarodziejem
O poszukiwaniu skarbów i zabójstwach
w umieranie. O kocie, który rządził
Szarikiem, sercu napędzonym
słowikiem i Dziadku z wąsami
O śwince Marysi, która zjadła
o wszystkich bogach rzeki
która zmieniła się w drzewo
O karmieniu grobów, plonach
i o tym, dlaczego konie nie żyją
w Niebie.

To jest opowieść o dorastaniu.
To jest opowieść o stracie.



...ej pelerynie,
...rodzajem.
...awach
nie chciał zostać
...m mechanicznym
...mi Hitlera.
...dła tęczę,
...i Babci,
...ewo.
...adze biodronek
...c świata zaczął się

To nie jest bajka o śmierci.
„Wszystko zdarzyło się mniej więcej
w Rzeźni numer pięć.
Prawie na pewno to prawda.

Cena 29,90 zł